

Podczas obchodów Święta Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej wręczono najważniejsze wyróżnienia Uczelni - Medal Marii Grzegorzewskiej otrzymał prof. Andrzej Giryński, a prestiżowe „Okulary Marii Grzegorzewskiej” odebrał Integracyjny Zespół Pieśni i Tańca „Mazowiaci”.

Z prof. Leszkiem Plochem, założycielem i kierownikiem zespołu rozmawiała Paulina Malinowska-Kowalczyk, rzeczniczka prasowa APS.

Panie profesorze, „Mazowiaci” otrzymali dzisiaj „Okulary Marii Grzegorzewskiej”. Co takie wyróżnienie oznacza dla Pana i dla całego zespołu?

- Każde wyróżnienie, każda forma podziękowania środowiska za trud włożony przez osoby z niepełnosprawnościami jest dla mnie wielką sprawą. Chociaż jako nauczyciel nie patrzę na nich jak na osoby z niepełnosprawnością. Ja czegoś takiego w ogóle nie uznaję. Dla mnie jest to człowiek, człowiek utalentowany i co najważniejsze, człowiek, który bardzo chce ze mną być, chce grać, chce tańczyć, chce śpiewać. Mój dialog z nimi jest absolutnie partnerski, oparty na szacunku, wrażliwości i wiary w to, że nam się wszystko uda. Kiedy zakładałem Zespół ponad 40 lat temu, właśnie taką maksymą się kierowałem.

To właściwie kwintesencja myśli Marii Grzegorzewskiej. Dopatrzeć się potencjału tam, gdzie inni go nie dostrzegają. Jakie były okoliczności powstania zespołu „Mazowiaci” blisko pół wieku temu?

- Byłem pod wielkim wrażeniem autorytetu Marii Grzegorzewskiej, jej idei. Zacząłem studia w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej, dzisiejszej Akademii i poczułem się w nim jak ryba w wodzie. Tutaj mówiono nam, jakie są możliwości pracy z osobami niepełnosprawnymi i w konfrontacji z praktyką poczułem natchnienie—złotymi myślami Patronki Uczelni, Marii Grzegorzewskiej. Powiedziałem sobie, że ponieważ gram, skończyłem szkołę muzyczną, ponieważ miałem już skromne doświadczenie w pracy z osobami z niepełnosprawnościami, to zrobię coś takiego, co na co dzień pozwoli zbliżyć świat kultury do tej grupy osób-i stwarzać im warunki do podejmowania współpracy z różnymi artystami zawodowymi.

To było wiele lat temu. Nie spotkał się pan z żadnymi oporami, społecznymi czy instytucjonalnymi?

- Oczywiście, że tak. Na Uczelni prawie wszyscy mnie wspierali. Jak były obchody urodzin Marii Grzegorzewskiej, to nawet proponowano, aby grupa tutaj wystąpiła. Jednak proszę sobie wyobrazić, że w tym gronie były osoby, które publicznie na zebraniu organizacyjnym miały obiekcję, czy aby goście się nie przestraszą, jak zobaczą osoby niepełnosprawne. I wtedy mój kolega śp. Włodzimierz Pietrzak powiedział: nie przejmuj się Leszek, wystawiamy Zespół, ja ci w tym pomogę, bo to jest coś pięknego. I rzeczywiście wystąpiliśmy. Nikt się nie przewrócił z wrażenia. Drugą sytuację miałem w Filharmonii Narodowej. Zapytałem ówczesnego dyrektora, czy możemy w tym miejscu otworzyć Scenę Muzyka Niepełnosprawnego. Proszę sobie wyobrazić, że w rozmowie wstępnej pan dyrektor Filharmonii Warszawskiej próbując odmówić realizacji inicjatywy, kazał się przekonać, dlaczego ci muzycy muszą grać „aż” w Filharmonii. Krew zeszła mi do nóg. Byłem po prostu zszokowany postawą przedstawiciela kultury. Co za świadomość. W odpowiedzi zwróciłem się do tego pana następującymi słowami: Panie dyrektorze, proszę mi powiedzieć, to kto w tej

filharmonii gra na tych scenach? Czyż nie ludzie? Bo przecież moi muzycy reprezentują ludzi. Dostałem tę scenę i w dniu 31 października 2008 roku otworzyliśmy Ogólnopolską Scenę Muzyka Niepełnosprawnego przy Filharmonii Narodowej w Warszawie. Na uroczystości otwarcia Sceny zaszczylicili nas swoją obecnością śp. Maria Kaczyńska, małżonka Prezydenta i śp. Prymas Polski ks. Józef Glemp.

Te sytuacje nigdy nie zasiały zwątpienia, w to co pan robi?

- Zwątpienia nie, ale ogromny żal i takie poczucie alienacji. Wyobcowania. Nawet później poza podziwem i szacunkiem nie spotkałem się z czymś takim, aby ktoś w środowisku zechciał mi poradzić, w czymś pomóc, wskazać kierunki rozwoju, utrwalić w przekonaniu słuszności kontynuowania dzieła. A przecież pracowałem z osobami z głębokim i umiarkowanym stopniem niepełnosprawności. Uważam, że każdy człowiek ma prawo do życia i do skorzystania z szansy. Nie możemy z góry zakładać, że ktoś nie da sobie rady. Proszę zauważyć, że nawet w rodzinach, w których znajdują się zdrowe dzieci, rodzic nierzadko zwraca się do niego z uwagą typu: jesteś niedorajdą, a to w konsekwencji może zadecydować o losie tego dziecka.

Świat się całkowicie zmienił w ciągu tych 40 lat. Dziś żyjemy wśród algorytmów i sztucznej inteligencji. Czy muzyka i taniec jeszcze wciąż integrują i budują więź?

- Tak, i to w sposób niezwykły. Po pierwsze uczestnicy otwierają się. Przychodzą do mnie absolutnie surowi, załężnieni, wycofani, często z wadami mowy, bojący się nawet spojrzeć prosto w oczy. Ja nie buduję stresu, bo oni i tak ten stres mają na co dzień. Na próbach ciężko razem pracujemy, a przy sposobności „otwieram ich dusze”, przełamuję lęki i obawy i zaprzyjaźniam się z nimi. Dochodzi czasem do takich kapitalnych sytuacji, w których podopieczny nie chce słuchać nawet rodziców, robić cokolwiek w domu na złość, bo rodzina nie chce puścić ich do pana Leszka na zajęcia. Budujemy więź i kiedy już udaje nam się ją nawiązać, odkrywamy inne rzeczy, czy to będzie głos, czy to będzie poczucie rytmu, czy to będzie jakaś inna forma ekspresji. Obserwuję i zaczynam budować, rzeźbić.

Na scenie widzimy piękne stroje, instrumenty. Oni są przygotowani, szczęśliwi, występują. Co się dzieje wcześniej?

- Kiedy już zbudujemy więź, zaczynamy się uczyć zasad wspólnego obcowania, reguł postępowania. Niezależnie od tego, czy to będzie muzyk czy tancerz. Zazwyczaj ten młody człowiek był wychowywany w negatywnym duchu: nie potrafisz. My zachowujemy się odwrotnie, doceniamy, wspieramy, wzbudzamy nadzieję, a następnie klaszczemy. Podopieczny odda wszystko za to właśnie, że pani go docenia, gdyż przez lata, od przedszkola do niemal dorosłości był zawsze przesuwany na bok i już się do tego przyzwyczyił. My teraz odbudowujemy wiarę w siebie, którą może miał jeszcze w dzieciństwie. To jest bardzo trudne, ale udaje się.

Pan wraz z przedstawicielami Zespołu, którzy na scenie odbieraliście dziś „Okulary Grzegorzewskiej” wyglądaliście na najszcześniejsze osoby w auli.

- Są osoby, po których od razu widać tę radość, ale są osoby, u których osoba postronna długo nic nie zobaczy. Miałem chłopaka, który przez ponad rok nie powiedział do mnie ani słowa. Matka nie wierzyła, że on się kiedykolwiek odezwie. Jego pierwsze słowo w życiu, dorosłego, trzydziestokilkuletniego człowieka brzmiało: Leszek. Niekiedy bardzo długo musimy czekać na to, aż ten ktoś się odezwie, aż wreszcie zareaguje i się uśmiechnie, choć

wewnątrz już od chwili spotkania jest to jeden, wielki bukiet radości. Widzę ten fenomen w oczach, nawet jeśli podopieczny mi tego nie okazuje.

„Mazowiacy” mają bardzo intensywny kalendarz występów. To prawda, że do końca roku macie już zajęte wszystkie terminy?

- Do końca 2027 roku. Tak wszystkie. Nie nadążamy. W trasach koncertowych obieranych w kraju szczególnie zależy mi na odwiedzinach w małych miejscowościach. Niech „Mazowiacy” pokażą, że coś potrafią, a za ich przykładem niech rozbudzają inicjatywę we własnym środowisku.

Gdzie Pan widzi „Mazowiaków” za 10-20 lat?

- Zaszczepiam pasję u córki, która ukończyła także pedagogikę specjalną. Jest w zespole wolontariuszką od trzeciego roku życia. W przeszłości niektórzy podopieczni nosili ją na rękach, a dzisiaj jest wyższa od nich. W naszym gronie jest jedna pani, która udziela się równo 50 lat. Najstarszy pan ma obecnie 85 lat, a najmłodszy 17.

Mocno międzypokoleniowo.

- Choć z reguły podopiecznych ktoś z rodziny przyprowadza na zajęcia u mnie uczą się samodzielności. To konieczne, gdyż my pływamy statkiem, latamy samolotem, my jeździmy autokarem. Zespół ciągle jest w podróży. Podbijamy świat. Wracając do tego, co będzie za 20 lat...Kiedy Mira Sygietyńska umierała, myślano, że zespół „Mazowsze” się rozleci, a jednak się nie rozleciał. Myślę, że ktoś się znajdzie, kto „Mazowiaków” poprowadzi dalej, kto będzie wierzył, że warto inwestować w potencjał osób z niepełnosprawnością.

Był Pan bardzo młodym człowiekiem, gdy powołał Pan do życia „Mazowiaków”. Co by Pan powiedział studentom i studentkom naszej Uczelni?

- Jeżeli tylko ci zakiełkuje pomysł dotyczący wsparcia, ochrony, rozwoju, terapii, cokolwiek skierowanego na osoby z niepełnosprawnościami, pomysł, który zbudujesz od podstaw, taki uczciwy, bez oczekiwań, to absolutnie go realizuj. Realizuj, bo masz siłę, jesteś młody i wbrew pozorom masz wiedzę. Niech sobie tam różni nauczyciele mówią to, czy tamto, ale jak masz najdrobniejszą pasję i chcesz ją zaszczepić wśród innych, zrób to, a szczególnie jeśli to ma dotyczyć osób z niepełnosprawnościami. Zrób to koniecznie. A potem będziesz z radością obserwował rozkwit. To wspaniałe uczucie. Pasja jest najważniejsza.

A czego życzy pan Akademii dnia Święta Uczelni?

- Bardzo bym chciał, żeby nauczyciele budowali motywację i dawali nadzieję wszystkim studiującym. Wiem, że duży procent nie zostaje w zawodzie, z tego powodu życzę studentom, by w swoim zawodzie pozostawali i żeby zechcieli dalej zaszczepiać entuzjazm pracy z człowiekiem o specjalnych potrzebach, z niepełnosprawnością. Życzę Uczelni studentów wrażliwych, otwartych na problematykę niepełnosprawności. Ci absolwenci są naszą nadzieją, przyszłą kuźnią. To oni będą reprezentować naszą Uczelnię i tworzyć warunki dla naturalnego i otwartego wzrastania do społeczności osób z niepełnosprawnościami.

Pięknie dziękuję za rozmowę i życzenia, i jeszcze raz gratuluję „Okularów Marii Grzegorzewskiej”!

